Nr. 12. Lwów, 17. Grudnia 1899. Serja Wydawnictwa trzecia. Rok XXIII.

Numer pojedyńczy **20 ct.** z dodatkami.

Tygodnik Narodowy

wychodzi na każdą niedzielę.

Prenumerata w Galicji i w Austro-Węgrzech wynosi z przesełką pocztową: rocznie *8 zł.*, półrocznie *4 zł.*, kwartalnie *2 zł.*, miesięcznie *70 ct.* W Poznańskiem i Niemczech: rocznie *16 marek* — stosownie na pół roku i na kwartał. W Królestwie Polskiem i Rosji: rocznie *8 rubli* — stosownie na pół roku i na kwartał. We Francji i w innych krajach europejskich: rocznie *20 franków* — stosownie na pół roku i na kwartał. W Ameryce Stanów Zjednoczonych rocznie: *4 dollary* — stosownie na pół roku i na kwartał. W Brazylji i w innych krajach zaoceanowych: rocznie *25 franków* — stosownie na półroku. Prenumeratę pod adresem Administracji *Tygodnika Narodowego* najdogodniej przesełać przekazami pocztowymi, lub w listach pieniężnych. Z Ameryki i z Brazylji można przesełać prenumeratę dollarami papierowymi, lub milrejsami w listach rekomendowanych (registré), albo przekazami pocztowymi. Prenumerować można w każdym czasie, bez względu na zaczęty kwartał, lub miesiąc. Numera zaległe z początkiem powieści, lub większych utworów przesełają się natychmiast *bezpłatnie.* Ogłoszenia przyjmuje Administracja, oraz wszelkie biura ogłoszeń miejscowe i zagraniczne. — Prenumeratorowie ***roczni*** otrzymują *co rok bezpłatnie*, jako *premium* nowy *Kalendarz illustrowany* wszechstronnie informujący, obszerny i obfity w treść interesującą.

Redakcja i Administracja ***Tygodnika Narodowego*** *we Lwowie, ulica Kraszewskiego l. 23.*

Tygodnik Narodowy znajduje się pod kierunkiem Komitetu wydawniczego i redakcyjnego.

Bezpłatna premja!

Dotychczasowi prenumeratorowie, którzy nadeślą wprost do Administracji prenumeratę *półroczną*: **4 zł.** na »Tygodnik Narodowy« otrzymają natychmiast obszerny, illustrowany, z wszechstronnym działem informacyjnym: **Kalendarz** na rok 1900 p. t. **Lwowianka** *bezpłatnie i franco.* Prenumeratę najdogodniej przesełać przekazem pocztowym do: *Administracji „Tygodnika Narodowego“ we Lwowie,* ulica Kraszewskiego 23.

Kwartał się kończy,

a po otrzymaniu 12 numerów przypominamy ponownie odesłanie przypadającej prenumeraty. Prosimy nie zmuszać administracji do upominania się o należytość osobnemi kartami korespondencyjnemi i ostatecznie prosimy nie wyrządzać krzywdy wydawnictwu, które ma prawo i powinno liczyć na obywatelskie poparcie.

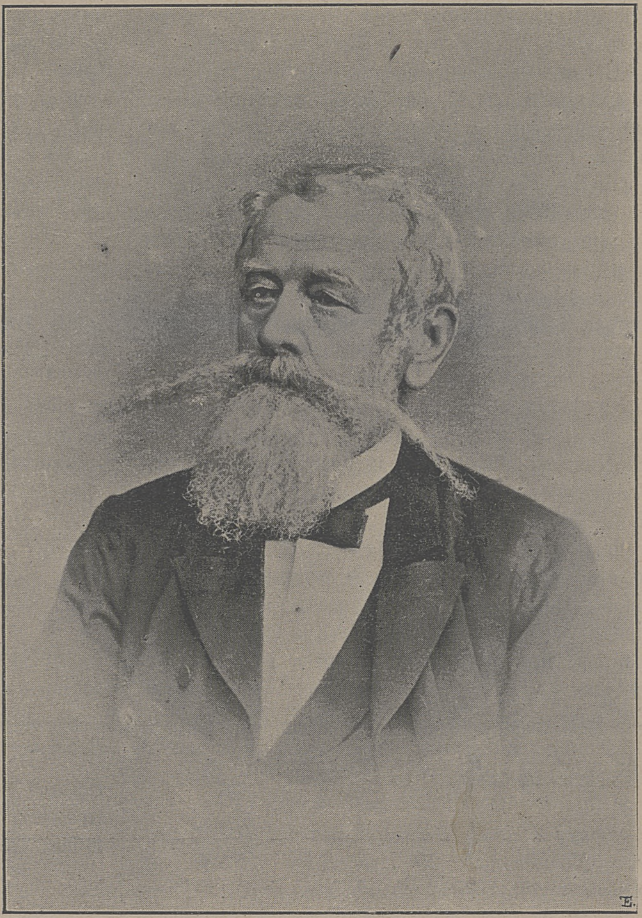
Lata miłościwe.

Bullą *Proper ante de exitum*, ogłosił papież Leon XIII. na rok przyszły jubileusz kościelny, czyli »rok miłościwy«.

Słowo jubileusz pochodzi od hebrajskiego »jobal«, oznaczającego róg barani. Z rogów tych wyrabiano mianowicie trąby, służące do zapowiadania uroczystości. U starych izraelitów przypadał jubileusz co 50 lat i obchodzono go według zakonu mojżeszowego aktem miłości bliźniego. Rzymianie znali również »rok miłościwy« i obchodzili go niezwykłemi igrzyskami, oraz obrzędami religijnymi, lecz rok ten ponawiał się u nich tylko co lat sto.

Świat chrześciański nie znał w pierwszym tysiącu lat swego istnienia jubileuszu, pierwszy bowiem »rok miłościwy«, o jakim pozostały pamiątki i podania piśmienne, obchodził kościół w Rzymie dopiero w r. 1300.

Około Bożego Narodzenia r. 1299 i Nowego Roku, zaczęli mianowicie wówczas napływać do Rzymu ze wszech stron pątnicy, opowiadający sobie o udzielaniu w tym roku nadzwyczajnych odpustów. Chociaż w archiwum papieskiem nie znaleziono co do tego żadnych wskazówek, obwieścił jednakowoż papież Bonifacy VIII., po zasięgnięciu rady kardynałów, iż wszyscy, którzy po przyjęciu Sakramentów św. zwiedzą po 30 razy, jeżeli są rzymianami, po 15 zaś, jeżeli zdala przybyli, bazylikę św. Piotra i Pawła, dostąpią najzupełniejszego odpustu przywiązanych do pokuty kar. Napływ pątników trwał bez przerwy cały rok; liczba ich doszła do 200,000. Liczba ta świadczy o żarliwej pobożności ówczesnych chrześcian, mianowicie, jeżeli się zważy, iż odbywano pielgrzymki te pieszo, bez znajomości języka ludności, przez której kraj przechodzono, że nierzadko srożyły się w tych krajach wojny, lub morowe powietrze, a drogi zalegali rozbójnicy, czyhający na mienie i życie pątników. Wszystkie te przykrości nikły atoli na wspomnienie Rzymu, na którego widok zalewali się pątnicy łzami, padali sobie wzajemnie w objęcia i całowali ziemię. Choć upadali ze znużenia, nie spoczęli, dopóki nie oddali hołdu księciu apostołów, wchodząc na kolanach po 21 stopniach schodów, prowadzących do kolumnady świątyni św. Piotra.



Ś. p. Franciszek Smolka.

Patrz wspomnienie pośmiertne pod tym samym tytułem w N. 11.

Pierwszy ów jubileusz uwiecznił z polecenia papierza malarz Gietto obrazem w bazylice Laterańskiej, a nadto ulano na pamiątkę uroczystości, nowe dzwony spiżowe dla bazyliki św. Piotra.

Wiek czternasty sprowadził na kościół wielkie nieszczęścia: niewolę papieża w Awinionie i wynikłe stąd rozdwojenie kościoła. Na domiar złego, grasowała wtedy w Europie dziesiątkująca ludzi morowa zaraza. Pod wpływem klęsk miękły umysły i skłaniały się ku pokucie. Rzymianie wysłali do Awinionu posłów, z prośbą o urządzenie jubileuszów co 50 lat, na co się papież Klemens VI zgodził, kładąc pielgrzymom obowiązek zwiedzania, prócz bazyliki św. Piotra i Pawła, jeszcze i świątyni św. Jana Laterańskiego. Na ogłoszony jubileusz przybyło tylu pielgrzymów, że powstała obawa o ich wyżywienie; z uwagi na to obniżył papież dni pielgrzymki dla miejscowych z 15 na 8 dni, a dla przybyszów nawet tylko na dzień jeden.

Jeden z następnych papieży, Urban VI., postanowił odprawianie jubileuszów co 33 lat, a to na pamiątkę życia Pana Jezusa na ziemi, Marcin V. obwieścił też w myśl tego postanowienia jubileusz na rok 1413, lecz przybyło nań tak mało pielgrzymów, że wrócono znów do okresu 50-letniego, który potem na 25-letni zamieniono.

Jubileusz, który się odbył w roku 1450, upamiętnił się w historji jubileuszów, najpierw nie zwykłą i niewidzianą dotychczas liczbą pątników, a powtóre nieszczęściem, jakie się wydarzyło na moście angielskim. Jednemu z jeźdźców spłoszył się muł, skutkiem czego powstał

popłoch i załamała się poręcz u mostu. Przeszło 200 ludzi wpadło do rzeki i znalazło śmierć w jej nurtach.

Jubileusz r. 1500 odprawiono otworzeniem po raz pierwszy bramy świętej, lub złotej. Cztery bazyliki rzymskie: św. Piotra, Pawła, Jana Laterańskiego i Panny Marji (Santa Maria maggiore) są mianowicie świątyniami o pięciu nawach i tyluż bramach. Piąta brama jest u wszystkich tych świątyń zamurowana i otwiera się tylko w »roku miłościwym«. Rytuał wraz z modlitwami, ułożył z polecenia papieża mistrz ceremonji Burkhard ze Strasburga.

W wigilią Bożego Narodzenia, udał się papież Aleksander VI. w otoczeniu kardynałów i wyższych prałatów w potrójnej koronie na głowie i z grubo pozłacaną gromnicą w ręce, w uroczystej proceji do Watykanu do świątyni św. Piotra. Przybywszy na miejsce, odesłał trzech kardynałów z poleceniem otworzenia w jego imieniu bram u trzech pozostałych świątyń, sam zaś, po odśpiewaniu przez śpiewaków swojej kapeli psalmu *Jubilate Deo omnis terra*, przystąpił do bramy i po trzykroć uderzył srebrnym młoteczkiem w mur, który stojący na pogotowiu murarze rozebrali; poczem procesja odmurowaną bramą weszła do kościoła.

Ceremonja zamknięcia »roku miłościwego« jest następująca: Do świątyni wchodzi przez bramę procesja z papieżem na czele, przy śpiewie hymnów i psalmów. W świątyni, poświęciwszy rozrobione wapno i cegły, przepasuje się białą przepaską papież i rzuca na próg po trzykroć srebrną kielnią wąpno, na które, po wciśnięciu kilku srebrnych i złotych monet, kładzie wśród odmawiania modlitw pierwszą cegłę. Za jego przykładem idzie wielki penitencjarz, oraz spowiednicy od św. Piotra, poczem murarze drzwi zamurowują. Udzielenie z loży kościoła błogosławieństwa kończy jubileusz.

Niezwykłe rozmiary miał jubileusz w roku 1578 za papierza Grzegorza XIII. Jubileusz odbył się bardzo uroczyście i przy udziale wielkiej liczby pątników, jakiego już dawno w Rzymie nie widziano. Dobrym przykładem przyświecał sam papież; w szatach pokutniczych zwiedzał często cztery bazyliki, a choć już 80 lat liczył, na klęczkach wchodził po schodach świętych.

Pobożność tego starca i gorliwość w służbie bożej pątników, w podziw wprawiała licznych z ciekawości do Rzymu przybyłych protestantów, z których się dużo nawróciło.

Następne jubileusze odbyły się w latach 1600, 1625 i 1675.

Jubileusz w roku 1700 otworzył w imieniu schorzałego i podeszłego w latach papieża Inocentego XII. kardynał de la Tour. Przy ceremonii tej była królowa wdowa Kazimira, małżonka naszego króla Jana Sobieskiego, która z swoimi dwoma synami Aleksandrem i Konstantym cały rok bawiła w Rzymie.

Po Inocentym XII. zasiadł na stolicy Piotrowej Klemens XI. Urządzony przezeń »rok miłościwy« wypadł bardzo skromnie. Za przykładem kilku swoich poprzedników, rozciągnął Klemens XI. jubileusz po upływie roku na cały świat katolicki, żeby umożebnić dostąpienie łask i odpustu »roku miłościwego« tym, którzy do Rzymu przybyć nie mogli.

Jubileusz roku 1725 odprawił papież Benedykt XIII, a roku 1750 Benedykt XIV.

»Lato miłościwe« na rok 1775 zapowiedział wprawdzie Klemens XIV., lecz nie doczekał się tegoż, bo umarł 22 września r. 1774. Dopiero w lutym przyszłego roku wybrano papieżem Piusa VI, który 25 lutego otworzył bramę świętą. Pątników atoli przybyło do Rzymu tak mało, jak jeszcze nigdy dotychczas. Dawna gorliwość religijna ustąpiła miejsca racjonalizmowi i niewierze, wyszłym z Francji i rozlewającym się szerokim strumieniem po Europie.

Jubileusz zapowiedziany na r. 1800 nie przyszedł zupełnie do skutku, z powodu niepomyślnych wówczas stosunków politycznych; to samo było z jubileuszami przypadającymi na lata 1850 i 1875.

Ostatni jubileusz odbył się za Leona XII., w roku 1825 jubileusz zatem zapowiedziany na rok przyszły, jest pierwszym od lat siedmdziesięciu pięciu.

Przebojem.

Powieść amerykańska

L. Lesława.

(Ciąg dalszy. Patrz nr. 11)

Szedł górską, stromą drożyną, wznoszącą się nad parowem — ani wózek, ani koń nie byłby przejechał tamtędy; wązka drużyna kamienista, podobną była raczej do ścieżki powstałej przypadkowo — żadnych na niej śladów zwiastujących, iż ludzie tamtędy przechodzili nie było. Piął się Piotr pod górę mozolnie, niosąc na plecach tłumoczek, a pot kroplisty spływał mu z czoła — za nim posępował Barabasz, objuczony również, z wywieszonym językiem. Piotr ujrzał nagle nad sobą królewskiego orła, niosącego w szponach jagnię, beczące przeraźliwie; chcąc je ocalić, chwycił za strzelbę, złożył się — padł strzał — orzeł uleciał chybiony. Ponieważ Piotr strzelając — mniej baczył na stromą ścieżkę — potknął się — trącony kolbą, a upadłszy stoczył się w dół. Pies skoczył za nim. Pęd z góry osłabiły krzaki, rosnące po drodze — mimo to, podrapał się Piotr i pokaleczył dotkliwie, co spowodowało omdlenie, z którego go ledwie Barabasz liżąc rany, do przytomności przyprowadził; — powlókł się Piotr do źródła, tryskającego z góry, obmył rany i opatrzył, a potem siadając, wydobył igłę i nici i przyprowadził strój potargany do porządku.

Rany, oprócz jednej głębokiej na czole, nie były niebezpieczne, ale za to dotkliwe i bolące.

— Trzeba dać za wygranę — pomyślał — i w jakiej osadzie przywieźć poturbowane członki do porządku.

Barabasz zdawał się z tem postanowieniem zgadzać, nie jednak zupełnie, gdyż choć patrzył na Piotra życzliwie — nie mniej przeto, zgjąwszy się w kabłąk — drapał się za uchem.

Nadeszła kobieta, zbierająca chrust i jagody.

— Czy daleko ztąd do mieszkań, madame?

— Nie mister, będzie staja!

— A którędy mi iść wypada?

— Niech pan idzie za słońcem.

Odpocząwszy, Piotr puścił się w drogę, szedł pomału i mozolnie — może być, że nie bardzo na rzut cienia zważał i zboczył z właściwego kierunku, gdyż droga była uciążliwa, a staja trwała już przeszło godzinę. Wygramolił się z wielką biedą na wzgórze, zkąd się widok odsłaniał. Ujrzał w oddali farmę ogrodzoną, park i gaje, między któ-

---

Kronika niedzielna.

(Pierwszy śnieg! Rozmyślania na ten temat. Orły Napoleona. 29 listopada. 1863 rok. Co nam przynosi? Skarbonki z napisem: „Pierwszy śnieg“. Najpiękniejszy pomnik).

Pierwszy śnieg!

Kiedy spoglądam na te białe płatki, pokrywające lasy i pola, chaty i pałace, ulice małych i wielkich miast — smutne uczucie ogarnia duszę. Ten biały zwiastun cicho, łagodnie niosący radość bogaczom, niedolę ubogim — wywołuje wiele, bardzo wiele wspomnień...

Wszakże to wśród pól, pokrytych śniegiem, szli nasi za orłami Napoleona aż do Moskwy i biały całun śniegu pokrył wszystkie nadzieje narodu...

Wszakże to w noc belwederską, kiedy serce Polski wydało okrzyk bronienia do ostatniej kropli krwi swobód naszych — biała szata śniegu pokryła ziemię naszą...

I znowu po latach wielu, pola Sybiru bielały śniegiem, kiedy najmłodsze pokolenie szło skute kajdanami do kopalni nerczyńskich.

Wszakże to, wszystkie nadzieje — łzy matek, ojców, braci i sióstr te białe, niewinne płatki śniegu — pokryły.

Czasem tylko na polach sybirskich widziano — ręce wniesione ku Bogu — sine, martwe, z ust konających słyszano modlitwy: Boże, miej miłosierdzie nad nami!...

. . . .

Wśród tego białego śniegu, odpokutowaliśmy tak wiele — tak wiele!

Na głowy naszych matek, te białe płatki śniegu przynosiły wieści straszliwe. Ostatnich, jedynych synów składały ojczyźnie w ofierze. Ileż to razy przez jedną noc, niewysłowiona rozpacz białym śniegiem srebrzyła ich skronie. Taki śnieg — to pierwszy zwiastun śmierci — więc tylko smutek nam przynosi.

O nie!

Na białym, iskrzącym jego dywanie, mkną sanki, szlichtady! kuligi!

Tam przez oświetlone okna widzę, jak w tańcu wirowym panny, kawalerowie, mężatki, wdowy, studenci, rozpromienieni bawią się... Wenty, bale, rauty, pikniki, przesuwają się przed oczyma mojemi. Wszyscy jedzą, piją, tańczą, ciągną losy o grosz zebrany, oddają — wiecie komu? Najczęściej tak zwanym »pańskim dziadom«, uprzywilejowanej klasie »niby ubogich«, zarejestrowanym stowarzyszeniom golców z nieograniczoną poręką.

Niechże się bawią — w pierwszy śnieg — poją radością, ale niech ta ich radość wyfroteruje na lśniących posadzkach, chleb dla nędzary, chleb dla wstydzących się żebrać, chleb dla biednych dzieci — a jest ich bardzo wiele — niech w każdym domu bawiące się dziewice i młodzieńce, panie i panowie rzucają grosz do skarbonki z napisem: »Pierwszy śnieg«.

Patrzcie, miłosierdzie idzie wśród śniegu, wyciąga dłonie do was wołając: »Litości! litości!«

A kiedy lud ubogi, nędzarze i dzieci biednych, rąk wyciągać nie będą ku obojętnym, zimnym sercom — kiedy pojmiemy, że w szczęściu drugich są wszyskich cele, będziemy silni, poczniemy zbierać olbrzymie kamienie z gór naszych, złożymy silnemi rękami pomnik, sterczący dumnie, ponad Warszawą, Wilno i Gniezno z napisem

> Poległym za naszą wolność, na polach śniegiem pokrytych 1800—1900.

Będzie to najpiękniejszy pomnik, bo, ręką miłosierdzia — wykuty!

Wicek.

rymi toczyła się wązka wstęga rzeczki — ujrzał osadę ludzką i przystań, siły go jednak opuściły — zapadł w powtórne omdlenie. Napróżno trącał go Barabasz, napróżno lizał otwartą ranę, gdyż chustka się zsunęła, napróżno usiłował przyprowadzić Piotra do życia — Piotr się nie ruszał. Poczciwe psisko zaczęło skomleć i biegać w około, widać było po niem niepokój i bezradność, po chwili jednak uległ instynktowi — opuścił Piotra, kierując się ku ludzkim mieszkaniom.

Do miejsca, gdzie leżał Piotr, farma zwrócona była tyłem; z farmy prowadziła furtka na kwieciste błonie i do gaiku przeciętego rzeczułką o przejrzystej wodzie, dnie piasczystem, okolona bujną roślinnością. Rzeczułka ta przepływała w dalszym biegu przez park farmy.

Po parku przechadzało się dwoje dziewcząt w wieku 16, lub 17 lat i szczebiotało wesoło, zrywając kwiaty i listki, lub goniąc się wzajemnie; były ubrane skromnie, lecz wykwintnie; z pod szerokich słomkowych kapeluszy, wyglądały u jednej bujne czarne, u drugiej płowe włosy. Szatynka miała twarz bladą, ładną, o energicznych rysach, blondynka głębokie szafirowe oczy, świeżą cerę i łagodne, harmonijne kształty, o nieopisanym, czarującym wdzięku. Były to panny z lepszego stanu, co można było poznać po obejściu i wykwintnej mowie, liczącej się z wyrażeniawi.

Dziewczęta wzięły się pod ręce, rozmawiając:

— I cóż Olgo — rzekła szatynka — jak przyjmiemy dzisiaj naszych gentelmanów?

— Jak zwykle, Marto — ja, jako gości grzecznie, ty obojętnie.

— Nie powinno się być z mężczyznami zanadto grzeczną — powiedziała Marta.

— Cóż z tego, kiedy taką niedobrą, jak ty, być nie potrafię — odpowiedziała Olga.

— Mężczyźni sobie z tego nie wiele robią — mówiła dalej Marta. — Naprzykład: mój Stenbek już zupełnie złagodniał, oswoiłam go zupełnie — tylko twój Greenhill nie zdaje się być szczęśliwym, zbyt mało okazujesz mu względów.

— Nie mogę mu ich okazywać, bo go wcale nie kocham.

— Ależ moja Olgo, jesteś zbyt dziecinną, taka świetna partja, tak wielkie obszary do niego należą — wart przynajmniej pięć Stenbeków — cenią go na ośmset tysięcy dolarów.

— Co mi po majątku, Marto, o bogactwo mi nie chodzi, a matka moja nie bardzo go lubi, choć mi wolną wolę zostawia.

— No, to prawda, że on trochę łysy, nos ma czerwony, w rozmowie powolny i flegmatyczny, ale co się mnie tyczy, żadna amerykanka takiej partji nie odrzuci — dodała Marta.

— Weź więc go sobie!

— Wzięłabym dawno, gdyby w twoje niebieskie nie zapatrzył się oczy!...

— A Stenbek — pytała Olga?

— Trzymam go w odwodzie — jeżeli się lepszy nie trafi — pójdę za niego — prawiła Marta, a pochwili dodała: — Namyśl się i idź za Greenhilla. Offenburgowi dałaś po raz drugi kosza, a on ma i układ i znalezienie się, na jakie nasze jankiesy się niezdobędą — matka twoja była za nim. — Nie można przebierać, jak w ulęgałkach, zostaniesz na lodzie...

— Jeżeli kogo pokocham — pójdę za niego — odrzekła Olga.

— Namyślisz się, pójdziesz za Greenhilla.

— Za Greenhilla nie pójdę, bo go nie kocham...

— Dziś nie — może jutro... —

— Wątpię — niech szuka innej...

Dalszą rozmowę przerwał Barabasz, wpadając niespodzianie. Dziewczęta krzyknęły i zaczęły uciekać, ale pies skoczył i chwycił Olgę za rękę tak lekko i delikatnie, że zaledwie czuła dotknięcie zębów — nie mniej przeto krzyknęła, aż pies puścił rękę, zagradzając jednak drogę do odwrotu; Barabasz patrząc im w oczy, zaczął wyć i skomleć, a potem chwytając jedną i drugę za suknię, ciągnął za sobą.

— Ten pies chce czegoś, a ładne to psisko — rzekła Marta.

— Czego chcesz psie? — spytała Olga. Pies ciągnął ją za suknię.

— Coś się stać musiało — czy pójdziemy za nim? — spytała Marta.

— Ja się boję — rzekła Olga.

— Pies łagodny, nie gryzie, może jego pan potrzebuje pomocy, pewno mu się stał jaki przypadek...

— Ach, to bardzo być może, nie przyszło mi to na myśl — rzekła Olga — chodźmy więc.

Pies widząc, że panie idą za nim, biegł naprzód, powracał, chwytał powtórnie je za ręce, lub suknie — jak gdyby chciał naglić do pospiechu. —

— Chodźmy prędzej — rzekła Olga — pies się niecierpliwi...

Przyspieszyły kroku — pies odbiegł, straciły go z oczu, wrócił jednak niebawem z zakrwawionym pyskiem.

— Chodźmy prędzej Marto — widocznie z jakimś rannym będziemy miały doczynienia...

— Mnie już tchu nie staje!

— Nie ma rady, może od naszego pośpiechu zawisło życie ludzkie.

Wkrótce przybyły panny na miejsce. Na wzgórzu leżał Piotr z głową odkrytą, z oczyma w pół przymkniętemi — z czoła sączyła się krew, twarz była blada, zdawało się, że życie z niej uszło. Olga zdjęła chustkę przesiąkniętą krwią. Marta przyniosła wody, obmyły ranę i zabroczoną twarz opatrzyły i zawiązały.

— Patrz Olgo — jaki to śliczny chłopak, jakie ma szlachetne rysy...

— Cicho Marto — odpowiedziała zmieszana Olga — może nas zrozumiał, cućmy go raczej i przyprowadźmy do życia...

— Uważałabym go za człowieka wyższego towarzystwa, gdyby podróży nie odbywał pieszo..

— Może jest turystą...

Wkrótce, pod magnetycznem ciepłem udzielającem się od dziewcząt i od zimnej wody, zaczęła się twarz Piotra ożywiać, piersi oddychać, a serce uderzać.

— Marto — ja się boję, chodźmy ztąd — on zaraz wróci do przytomności.

— Nie bądź dzieckiem, nie zostawimy go przecież samego — gotów znów zapaść w omdlenie...

— Ach to prawda — rzekła Olga, myśląc w duchu: — Niech się dzieje wola Twoja!

Otworzył Piotr oczy.

— Barabasz — gdzie jesteśmy?

Pies zaczął skakać, liżąc Piotra po rękach i twarzy — to go zupełnie przyprowadziło do przytomności. — Podniósł się do połowy, a spostrzegłszy obok siebie młode dziewczyny i spotkawszy się z oczami Olgi, poczerwieniał i wzrok mu blaskiem niebiańskim zaświecił — ten sam wyraz zachwytu odbił się i w oczach Olgi. To też pokraśniała i śliczny ozdobił ją rumieniec.

— Przepraszam was piękne panie, że się tak niefortunnie przedstawiam — chybiony strzał spowodował mój upadek z górskiej drożyny. Dziękuję za udzieloną mi pomoc — widzę, że wam życie moje zawdzięczam...

— Nie mister — odpowiedziała Marta — ale przedewszystkiem swemu psu, który nas siłą tu sprowadził...

Usiłował Piotr powstać — panie mu pomogły; pies skakał wesoły, stawiał poufale łapy paniom na ramiona, okazywał radość i uciechę. To też panie go głaskały, pogłaskał i Piotr mówiąc:

— Poczciwy Barabaszu!

Nie długo trwała psia uciecha, gdyż musiał zabrać pakunki. Marta przewiesiła strzelbę przez ramię, Olga wzięła mapę z rysunkami.

Szedł Piotr, prowadzony przez panie drogą do farmy. Widząc się w tak miłem towarzystwie, a szczególnie uroczej Olgi, ku której od razu uczuł sympatję, błogosławił wypadek z chybionym strzałem, a serce jego napawała błogość i otucha.

— Matko — rzekła Olga do sześćdziesięcioletniej, nadzwyczaj miłej i pogodnej staruszki — pochylonej jednak i pomarszczonej cokolwiek — przyprowadzamy rannego w gościnę — spadł z wyżyny i potłukł się — pies zaprowadził nas do niego i pozwolił nam go ocalić. —

Witamy pana, mister — gość w dom, Bóg w dom — powiedziała staruszka, a widząc Piotra znużonego i ledwie trzymającego się na nogach, kazała mu pokój przyrządzić, przygotować herbatę i łóżko. Wkrótce zapadł Piotr w sen ciężki, a choć w nocy majaczył trochę, obudził się rano zdrów i rzeźki — wskutek upływu krwi jednak, czuł się tak osłabionym, że byłoby niebezpiecznie puszczać się w dalszą podróż, postanowił zatem w gościnnej farmie kilka dni odpocząć.

— Jak się ta farma nazywa? — zapytał Piotr starej piastunki, która mu usługiwała.

— Arwajówka.

— Arwajówka — zawołał Piotr — więc pani domu będzie Arwajową, może żoną Tomasza?

— Mąż jej był Tomaszem.

— Miał córkę Olgę. Ta umarła, została wnuczka Irena...

— To chyba nie ci Arwaje, ponieważ córka Olga żyje, a zamężna nie jest.

— To dziwne — czyście nic nie słyszeli o Tomaszu, szlachcicu węgierskim, który mieszkał w okolicy Chicago?

— Nie — niesłyszeliśmy nic o tamtych Arwajach — musieli dawno z Ameryki wyjechać.

— Może i wyjechali, a nazwiska mogą być przypadkowe — odpowiedział Piotr i nie troszczył się tem więcej, zwłaszcza że nie miał powodu niewierzyć piastunce, okazującej mu tyle życzliwości.

Wstał Piotr, umył się i ubrał; w innym stroju wyglądał zupełnie inaczej — byłaby już teraz Marta nie wątpiła — że jest pańskiem dzieckiem. — Poszedł do pań podziękować za gościnę, oczekiwały go już ze śniadaniem. Kiedy obcych nie było, siadała i piastunka do wspólnego stołu.

— Jak ci się spało mister? — spytała pani domu.

— Dziękuję, łaskawa pani, bardzo dobrze.

— Co mister robisz w tych stronach?

— Byłem na kresach, a odkrywszy źródła nafty, zakupiłem dwie farmy, a teraz wracam do New-Yorku, ażeby wydostać pieniądze, zabrać przyjaciela i kopalnię nafty założyć. C. d. n.

PSY W WOJSKU.

Psa nazywają najlepszym z pośród zwierząt »pomocnikiem człowieka«. Do czego bo już poczciwego kundla nie używano? W Anglji nawet zamiłowanie do psa doprowadzono do wysokości... nauki.

Do niedawna znany był w Anglji gatunek psów, używanych w kuchni do... obracania rożna. Rasa ta jednak dziś zwyrodniała. Wskutek obracania fatalnego koła w ciągu kilku pokoleń i w miarę jak ciało obracającego rożen wyciągało się, ażeby silniej trzymać narzędzie, łapy przednie nietylko się skurczały, ale nadto się wykręciły. Zamiast biegać, jak jego bracia, na czterech łapach, nieszczęsny kundel wlókł się na czterech kikutach wyschniętych. Dopiero cywilizacja nowoczesna zniosła tę mękę, zastąpiwszy ją mechanizmem zegarowym.

Obecnie znowu militaryzm chce przerobić psa na żołnierza. Rzecz to właściwie nie nowa. Płaskorzeźba wykonana w Herkulanum przedstawia psy, broniące fortecy. Poznać po nich, że zajmowały wybitne miejsce w hierarchji wojskowej państwa rzymskiego. Nosiły one zbroje i naszyjnik, opatrzony w kolce żelazne, przyłączone zaś były do legji. Dzięki to ich waleczności, król Jaremantes odzyskał swoje państwo. Pod Mantineą dwie falangi molosów towarzyszące wojsku, tebańskiemu i spartańskiemu, walczyły dzielnie i zawzięcie; psy cymbrów nie chciały się poddać i dały się zabić na posterunku, broniąc obozu i kobiet, które się tam schroniły. Później psy wojskowe przestały istnieć, jako instytucja, ale tradycja o nich nigdy nie zaginęła całkowicie.

Głośny pies Moustache, który odbył wszystkie kampanie za pierwszego cesarstwa i był ozdobiony orderem na polu bitwy pod Austerlitz, za odebranie żołnierzowi nieprzyjacielskiemu sztandaru pułkowego, pozostanie swego rodzaju bohaterem.

Byli to jednak amatorowie raczej i ochotnicy, aniżeli żołnierze zaprawieni i ćwiczeni.

Niemcom dopiero należy się chwała za rozciągnienie służby obowiązkowej i na psy. Przypomina to trochę napady cymbrów i teutonów, ale fakt jest faktem!

Doświadczenia, czynione ze »szkołą psów« w Gester w roku 1886 dały świetne rezultaty tak, że obecnie kundysy pomerańskie pomieszczone są w rejestrach armji pruskiej.

Jenerał francuski, Teron, poszedł za przykładem niemców i na manewrach psy odznaczyły się niezwykle. Naturalnie, że nowi ci pomocnicy żołnierza, uczeni są według zasad tegoczesnej taktyki. Nie ćwiczą ich w tym celu, żeby się biły na wzór psów cymbryjskich, albo żeby odbierały sztandary, ale się muszą zadowolnić skromniejszą rolą.

Stoją obok placówki wysuniętej naprzód i dają znać o zbliżającem się niebezpieczństwie, tropią też w lasach, lub w fosach, czy niema gdzie ukrytego wroga, a wreszcie biegają z depeszami.

Do wyuczenia się tych czynności, nie potrzeba bynajmniej pierwszorzędnych zdolności. Pies łatwo się uczy rozpoznawać wroga od swojego. Podczas kampanji tuniskiej, umiał zawsze odróżnić turkosa od zbuntowaoego krajowca, a na ostatnich manewrach psy przenosiły depesze z zadziwiającą szybkością. W zamian za to, trudno im wszczepić krew zimną i rozsądek.

Na odległość trzystu metrów pies zwęszy wroga podkradającego się na czworakach, ale jeżeli zaszczeka, wszystko jest stracone, bo ostrzeżony uprzedzi swoich. Trzeba więc przedewszystkiem wprawiać psa wojskowego do milczenia. O zbliżeniu się nieprzyjaciela, powinien dawać znać podnoszeniem ogona, albo skrzywieniem górnej wargi, lub innymi znakami niemymi. Skoro zaś rozumie, że jego zadaniem jest nie szczekać, powiedzieć można, że osiągnął szczyt doskonałości psiego rozumu.

Jaka rasa nadaje się najbardziej do tych posług wojskowych, kwestja to jeszcze nie rozstrzygnięta.

Austrjacy używają psa dalmackiego, włosi małego jamnika, używanego na lisa, niemcom zdaje się wystarczać kundys pomerański.

Francuski sztab jeneralny nie wie jeszcze jak postąpić. Zdawałoby się, że kundel byłby najstosowniejszy, bo uczy się łatwo sztuk wszelkich, atoli nie posiada odpowiednich sił fizycznych, a oprócz tego, nie odznacza się węchem i słuchem wybornym, ani nie jest w możności szybko odnosić depesz.

Wyżełby był wyborny do zbadania terenu, lecz znowu nie pojmuje karności. Anglicy oddają pierwszeństwo psom pastuszym, które i węch mają znakomity i inteligencję i świadomość swej odpowiedzialności.

Pies ten jest typem najdoskonalszym psa rozsądnego, Nic go nie odwróci od obowiązku, podczas pilnowania trzody, nie spuszcza jej ani na chwilę z oka i nie pozwala przechodzić na pastwisko obce.

Z tego materjału, anglicy niezawodnie wytworzą osobną rasę psów »od wojny«. Wówczas też zapewne, armja trójkrólestwa nada psom i odpowiednie umundurowanie.

Echa zamiejscowe.

Stanisławów.

Tutejsza szkoła wydziałowa żeńska, im. król. Jadwigi, urządziła celem uczczenia rocznicy zgonu wieszcza naszego Adama, uroczysty wieczorek wokalno-deklamacyjny, który wypadł świetnie.

Ku uczczeniu Najprzew. ks. biskupa Andrzeja Szeptyckiego, odbył się w poniedziałek dnia 11 b. m. w wigilję św. Andrzeja, staraniem tut. ruskich narodowych Towarzystw, uroczysty wieczór w sali Towarzystwa im. Moniuszki.

W sobotę dnia 9 grudnia b. r., odbyło się w lokalnościach klubu towarzyskiego, na cel dobroczynny inauguracyjne przedstawienie amatorskie, które stanie się dla amatorów zachętą do dalszej pracy, ku rozbudzeniu życia umysłowego i ożywienia stosunków towarzyskich. Odegrano trzy jednoaktowe komedyjki: *Tajemnica* Dobrzańskiego, *Świeczka zgasła* Aleks. hr. Fredry i *Pupil pupila* Abrahamowicza. Komedyjka *Świeczka zgasła* była opracowana przez amatorów bardzo starannie i odegrana znakomicie. Doskonała gra panny Eug. Bor. (Jadwiga), wyborna dykcja, pewne ruchy i swoboda, świadczą o niepospolitym talencie dramatycznym. Znakomitym partnerem był Dr. S., który z werwą i humorem oddał bardzo trudną rolę Władysława. Komedyjka *Tajemnica*, kierowana zręczną ręką reżysera, udała się doskonale. Nader korzystnie wywiązały się z podjętego na się zadania panie: R i F., z panów celował p. B., z powodzeniem sekundował Dr. J. W komedyjce *Pupil pupila*, role były świetnie obsadzone i wyśmienicie oddane. Na pierwszy plan wysunęła się panna Ko., która oddała rolę Eufrozyny z elegancją i ze zrozumieniem rzeczy. Powabnie wyglądała panna S. B. w roli Elżbiety. Artystycznie wywiązali się z powierzonych im ról pp. Bir. i Ep. Mniejsze role, jak Narcyza (p. Dr. J.) i pokojówki (pna F.) oddane zostały wcale dobrze. P. E. swoim monologiem zachwycił publiczność, która hucznie go oklaskiwała. Reżyserja sztuk była bardzo staranna. Publiczność licznie zgromadzona, bawiła się doskonale. (*Stb.*)

Z *Tarnowa* piszą:

Wieczorek listopadowy, urządzony przez Tow. gimn. „Sokół“, aczkolwiek jak wszystkie wieczorki o zabarwieniu narodowem, nie dopisał pod względem kasowym, jednak wykonanie jego bardzo dodatnie wywołało wrażenie. Słowo wstępne wypowiedział prof. Doleżan, a cały prawie program wypełniły same nowości. Po raz pierwszy widzieliśmy na scenie niedawno zawiązany chór »Sokoła«, który bardzo poprawnie odśpiewał kilka utworów, a Signiego kujawiak: „Od dworu do dworu“, gromki zyskał aplauz. Pięknie, jak zawsze, grał p. Kostelecki, a choć jak zwykle niedopisało światło, jednak nie żałował kto pozostał mimo ciemności, gdyż usłyszał bardzo pięknie odśpiewany utwór Bonoldiego: „Stary Kapral“ i Hilla: »Serduszka z nad Wisły«, jakoteż wiersz p. Walerji Szalay, wygłoszony przez p. Mikulskiego.

Koncert kompozytorski Fryderyka Chopina, urządzony staraniem »Kółka przyjaciół muzyki«, ku uczeniu 50-letniej rocznicy skonu nieśmiertelnej pamięci mistrza, zgromadził w sali kasynowej dość liczną i doborową publiczność.

Z Kołomyi donoszą:

Uroczystość listopadowa, którą u nas obchodzono w dniu 2. grudnia b. r., wypadła — jak się tego spodziewać należało, pod każdym względem doskonale. Słowo wstępne, wypowiedziane przez prof. p. Siwaka, wprowadziło do sali od razu nastrój poważny i rzewny, który utrzymał się w audytorjum bardzo licznie zebranem przez cały wieczór. Z bogatego programu wieczorku, wykonanego siłami amatorskiemi wogóle bardzo dobrze, należy podnieść deklamację p. Sidorowicza, prezesa Towarzystwa muzycznego, którego też główną jest zasługą, że Kołomyja i w tym roku obchodziła, jak przystało, rocznicę listopadową. Prześliczna gra na skrzypcach p. Dra H. była i tym razem przyciągającym punktem programu. Wogóle, wieczorek uważać można za bardzo udały.

Dyrektorem miejskiej gazowni zamianowano p. inżyniera Kazimierza Haczewskiego. Wybór ten, ze wszech miar uważać można za szczęśliwy.

Z *Poznania* piszą:

Odczyt p. Jana Kasprowicza ze Lwowa, bawiącego chwilowo w naszem mieście, o »Słowackim i nowszych prądach w literaturze polskiej«, zgromadził bardzo liczną publiczność. Odczyt treściwy, pełen głębokich myśli i oryginalnych poglądów na współczesną literaturę polską, podobał się bardzo. P. Kasprowicz, uproszany przez wielbicieli swego talentu wypowiedział drugi odczyt, na temat »Ze stosunków społecznych Galicji.“ Ze względu na treść swoją, odczyt budził wielkie zaciekawienie.

P. Wanda Siemaszkowa, znakomita artystka teatru krakowskiego, przybyła tu na gościnne występy. Między innemi sztukami, wystąpiła w *Urzędowej żonie*, oraz w *Buncie Naperskiego* Jana Kasprowicza, na którem to przedstawieniu, był obecny sam autor.

Milwaukee (Ameryka). Polacy tutejsi starają się, aby park, położony przy Lincoln Ave., otrzymał nazwę *Kościuszko*. Nie ma wątpliwości, że życzenia rodaków naszych będą uwzględnione, gdyż zarząd miasta stoi po stronie polaków. Pani Helena Modrzejewska, znana artystka dramatyczna w starem kroju, występuje z wielkiem powodzeniem w naszem mieście, w teatrze Dawidsona. Sławna artystka gra naturalnie po angielsku. P. Modrzejewska występowała również w Chicago, w teatrze Grand Opera House. Polacy uczęszczają ogromnie licznie na te przedstawienia.

WESOŁY KURJEREK.

Z ulicy.



— To ci panie raj!.. djabli wiedzą, gdzie lepiej, czy u socjalistów, czy u konserwatystów? I tu bryndza, i tam bryndza... Człek nie wie, gdzie się ze swojemi przekonaniami przytulić... A to ci panie raj!...

Prześliczna historja.

Monolog

Józefa Zejdowskiego.

wypowiedziany na koncercie studenckim we Lwowie.

Na pewnem zebraniu, gdzie się znalazłem przypadkowo, było kilku cudzoziemców; rozmawiano o literaturze. Jakiś francuz, wychwalał swoich autorów, twierdząc, że genjuszami literatury całego świata są tylko Hugo, Dumas, Sardou, Daudet.

Niemiec potępiał wszystkich pisarzy, starając się dowieść, że Szyller i Goete zaćmili potęgi innych narodów. Anglik naturalnie wychwalał swego Walter-Scotta, Byrona, Szekspira i wielu innych. Wtedy, nie mogłem się pohamować, przerwałem ich dowodzenia mówiąc, że przecież i my mieliśmy i dotąd posiadamy ludzi znakomitych, pisarzy i autorów głośnych, w całym świecie naukowym, n. p. Mickiewicz, Słowacki, Sienkiewicz, no — i jeszcze jednego.... Tem to właśnie napisał pewną wspaniałą historję, którą, jeśli państwo pozwolicie, ja wam opowiem.

Romans ten, dzieje się w wielkim parku w Japonji, w ogrodzie pełnym zieloności, w parku prześlicznym i dużym. W tym wielkim ogrodzie przechadza się żółta panienka, dziewica cudna, ładna, która ma białą sukienkę. Otóż, młoda dziewiwica, która ma białą sukienkę biega z gracją za... za... za... no, jakże się to nazywa to stworzenie?

No, takie stworzenie, co to siada na kwiatkach, kładzie w nie pyszczek, a potem leci dalej? Ma skrzydła... (*p. ch.*). Aha! to motyl! Tak, tak motyl... ona biegła za motylem, a za nią leciał jakiś młodzieniec, który spoglądał na nią z wielką miłością... to był narzeczony tej panienki. A ta panienka, to była jego narzeczona. W tem, ta dziewica, kiedy biegła, wpadła w takie... (*poprawia się*) w taką.. nie, w takie naczynie pełne wody, no wiecie państwo, takie naczynie, co się często znajduje w ogrodach, a w wodzie są małe rybki (*p. ch.*) Aha! to basen, tak, tak, biegła za... no jakże tam, a... za motylem i wpadła do basenu! Ale ten młody człowiek, jak zobaczył takie straszne nieszczęście, czemprędzej wskoczył za ładną panienką, a potem... oboje umarli... jakież to okropne zdarzenie.

Jakże państwu podobała się ta prześliczna historja? Czy nie piękna? To ja ją napisałem...

KOBIETA WZOROWA.

Barwna, jak motyl, wonna, niby róża.
Strojna, wesoła — ósmy cud wcielony!
Jasnego czoła nic jej nie zachmurza,
Więc gdy pochlebstwa słyszy z każdej strony,
Zwątpieniem serce ranić jej nie każcie,
Boć ma... szesnaście.

Zna troszkę życie, nawet z uciech czary,
Nie jeden słodki haust już połknęła,
Rada, gdy widzi u nóg swych ofiary,
A gdy posiądzie to, czego pragnęła,
Wnet więcej żąda jej dusza niewieścia,
Boć ma... dwadzieścia.

W zamglonem oku jasny płomień błyska,
Mimo znużenia w ruchach i na twarzy;
Lubi, gdy się jej przyglądają z blizka,
Lubi, bo wtedy głośno, słodko marzy
I nieustannie zmysły swoje pieści...
Ach ma... trzydzieści.

Zapadłe lica i spieczone usta,
Już konwulsyjnie drgają tylko wargi,
Życiowa czara, jak kopuła pusta,
Zamiast zachwytów, jęk tylko, lub skargi,
W wystygłej piersi, niby liść szeleści...
Ba! ma... czterdzieści.

Wszystko skończone, na świeżej mogile
Wzniesiono pomnik piękny, marmurowy
I napisano na nim tylko tyle:
»Tu leżą prochy kobiety wzorowej,
Co całe życie jadła, piła, spała«...
Pięćdziesiąt miała.

Korespondencje jenerałów.

(Prawdziwa humoreska.)

I.

List angielskiego jenerała do jenerała boerów:

Wielce szanowny kolego!

Nie wyrażam nadziei, że list ten otrzymasz w dobrem zdrowiu: nie pozwala mi na to arcygłupia (mówiąc między nami) instrukcja, w którą zaopatrzyła mnie na drogę do Transwaalu przemądra rada wojenna. Panowie zasiadający za zielonymi stolikami utrzymują, że powinienem zniszczyć zupełnie nieprzyjaciela, lub co najmniej wziąć go do niewoli z całym Transwaalem, wszystkiemi kopalniami, wołami i wszystkiem — co jego jest. Czyż potrzebuję dodawać, za jak bardzo niegodną i nieludzką uważam tę misję. Cieszę się, że w osobie pańskiej znalazłem towarzysza myśli i dla tego też proszę pana bardzo, nie wnioskować o moich sympatjach z lotu padających na was kul i granatów. Strzelam wbrew swemu przekonaniu.

Z szacunkiem i przyjaźnią

Jen. Plumpudding.

II.

List jenerała boerów do angielskiego jenerała:

Drogi lordzie Plumpudding!

Odpowiadając na pański cenny ogień z dnia 3 bm., wysłałem niezwłocznie kilka szrapnelów pod pańskim adresem. Możesz pan być święcie przekonany, że zamiarem moim nie było obrażać któregokolwiek z szanownych członków pańskiego korpusu, ponieważ to sprzeciwiałoby się w wysokim stopniu memu poczuciu delikatności. Ale jeżeli kto z pańskich czuje się obrażonym przez moje szrapnele, to proszę mnie uniewinnić, a równocześnie uwiadomić mię łaskawie o stanie zdrowia każdego z nich. Proponuję panu wspólne urz dzanie wiecu naszych wojsk po jutrzejszej walce, abyśmy mogli zgodnie, a stanowczo zaprotestować przeciw barbarzyńskiej wojnie.

Jenerał Istrand.

III.

List angielskiego jenerała do jenerała boerów.

Drogi przyjacielu!

Pańska cenna propozycja doszła mnie razem z jego granatem, który eksplodował w moim namiocie. Ta głupia wojna zabiera nam wiele czasu, który możnaby zużytkować bardziej odpowiednio dla naszych upodobań i rozrywek, niż na tę wzajemną pukaninę. Co myślisz pan o tem, gdybyśmy tak jeden drugiemu oddali się do niewoli? W takim razie pański prezydent, albo mój londyński gabinet byliby skompromitowani. Po wspólnem zgromadzeniu, celem zaprotestowanie przeciw wojnie, nie spodziewam się absolutnie niczego. Pan przecie wie bardzo dobrze, że wszędzie rezolucje tego rodzaju zostają zawsze na papierze. Pomyśl pan o mojej propozycji, a będziemy mogli rozstrzygnąć losem, co byłoby najlepszym środkiem na uspokojenie umysłów i giełdy. Czy pan nie myśli tak samo?

Jenerał Plumpudding.

IV.

Odpowiedź jenerała boerów.

Spodziewam się, że nie weźmiesz pan tego za kpiny, jeżeli mu powiem, że otrzymałem ogromnie ostry rozkaz zwycięzenia armji angielskiej za wszelką cenę. Na nieszczęście, muszę w tym celu używać środków, nie licujących bynajmniej z nami obydwoma. Ale w każdym razie, będę to sobie za niezwykły uważał honor, jeżeli będę mógł przywitać pana w charakterze mego jeńca. Nie chcąc nikomu robić trudności i dążąc do takiego załatwienia sprawy, któreby odpowiadało przekonaniom nas obydwóch, proszę mi donieść co uważa pan za wygodniejsze: czy, abym go o ile możności jak najprędzej pobił, czy też abym go tylko obsaczył w celu tem łatwiejszego poddania się?

Gotowy do usług i nader wszystko miłujący spokój.

Jenerał Istrand.

C. K. UPRZYW. GAL. AKCYJNY BANK HIPOTECZNY WE LWOWIE.

OBWIESZCZENIE.

Na mocy uchwały nadzwyczajnego Walnego Zgromadzenia akcjonarjuszów c. k. uprzyw. galic. akcyjnego Banku hipotecznego z dnia 6 grudnia b. r. **powiększa się kapitał akcyjny o 1.400.000 zł. w. a.** (2,800.000 koron) **przez wydanie 7.000 nowych akcyj po 200 zł.** (400 koron).

P. T. akcjonaryuszom Banku hipotecznego przysługuje prawo podniesienia na każdych 5 sztuk akcyj. **1 nowej akcji po cenie 280 zł.** (560 koron) **z kuponami, których pierwszy płatny będzie 1 stycznia 1901.**

Ułamków nie uwzględnia się.

Prawo poboru można wykonać **od dnia 15 grudnia 1899 do dnia 15 stycznia 1900 włącznie,** po upływie którego terminu **prawo to stanowczo gaśnie.**

P. T. akcjonarjusze, chcący korzystać z tego prawa, winni najpóźniej do 15 stycznia 1900 złożyć swoje akcje w kasie naszego Zakładu, celem ostemplowania i uiścić przepisaną wpłatę w kwocie 280 zł. (560 koron) i należytość stemplową po 2 zł. 50 ct. (5 koron) od sztuki.

Za wpłaty, poczynione przed dniem 2 stycznia, bonifikować będziemy 6%, natomiast za wpłaty późniejsze do 15 stycznia 1900 doliczać będziemy 6%.

P. T. akcjonarjusze mogą transakcję tę przeprowadzić także za pośrednictwem naszych Filji w Krakowie, Tarnopolu i Czerniowcach.

Lwów, dnia 6 grudnia 1899.

C. k. uprzyw. gal. akcyjny Bank hipoteczny.

N. B. Celem ostemplowania akcji wystarczy przedłożenie płaszczyków bez arkuszy kuponowych. (71—1—1)

Literacki podwieczorek

Nowella Bolesławicza.

I.

Galicyjskie miasteczka, tak są do siebie pod każdym względem — podobne, że nie uważam za konieczne opisywać właściwości miasteczka X., w którem się stała rzecz, niżej wyłożona.

Bohaterem moim jest naturalnie młody, piękny, bardzo wykształcony pan Walery, który jako wzorowy urzędnik, rokował wielkie nadzieje.

Jak dotąd, pracował z korzyścią w stołecznem mieście i byłby do śmierci może pracował i awansował, gdyby nie urocza panna Marja, córka wielkiego dygnitarza pana Gromskiego.

Urocza panna, zajęła się na prawdę Walerym, a ponieważ Walery także zapłonął szalonym ogniem, przeto wywiązała się z tego gorąca i prawdziwa miłość.

Ale na nieszczęście, ojciec panny Marji, wolał mieć zięcia — jak to mówią — pana całą gębą, niż jakiegoś tam urzędniczynę.

Lecz jako dygnitarz dobrze wychowany, znający się na dyplomacji, nie czynił żadnych wyrzutów córce, Walerego nie wypychał za drzwi, tylko spokojnie, cicho i taktownie, udał się do kogo należało z prośbą, aby pana Walerego przeniesiono urzędownie do jakiejś zapadłej mieściny i tak długo tam go zatrzymali, dopókiby mu miłość nie wywietrzała z głowy.

Naturalnie, życzeniu dygnitarza natychmiast stało się zadość i pan Walery oszołomiony, przerażony i boleśnie rozczarowany, znalazł się w miasteczku X.

Przełożonym jego był tutaj pan Tuzinkowski.

Pan Tuzinkowski miał żonę, uchodzącą za uczoną kobietę i córkę pannę Zofję, która w cichości wzdychała do p. Aleksandra, młodego dziedzica sąsiedniej wioski, dobrze zagospodarowanej.

Otóż, przedstawiwszy główne osoby działające i opisawszy, co uważałem za konieczne, przystępuję teraz do skreślenia drugiego rozdziału.

II.

W małym ogródku, przylegającym do dworku państwa Tuzinkowskich, widzimy szanownych małżonków, zajętych ważną rozmową.

Ona zdawała się być przejętą tem, co mówiła, on zaś okazywał rozczulenie i podziwienie.

— Jakby nam z nieba spadł ten Walery — rzekła pani Tuzinkowska — Zosia troche się rozrywa, nie nudzi się, nie płacze i już tak nie wzdycha.

— Kochane dziecko — bąknął pan Tuzinkowski.

— Ale, bo też przyznać trzeba — ciągnęła dalej małżonka — że Walery, to wcale nie głupi młodzieniec. Wie, co powiedzieć i wie jak się ma znaleść. Z Zosią rozmawia swobodnie... a pan Aleksander — powiadam ci — ledwie z zazdrości nie pęknie!

— Biedny chłopczyna! — westchnął p. Tuzinkowski.

— Siedzi jak mruk — mówiła dalej pani Tuzinkowska — nic nie mówi, tylko słucha i patrzy. Nie trudno jednak domyśleć się, że onby w łyżce wody utopił Walerego.

— Oj, to źle!

— Właśnie że dobrze, Pan Aleksander długo takich tortur nie zniesie, bo ten jego rywal okropnie mu krew burzy. Krótko mówiąc, jestem pewną, że pan Aleksander lada dzień przystąpi do rzeczy i oświadczy się o rękę Zosi — a jeżeli się oświadczy, to główną pobudką będzie Walery.

— Poczciwy chłopak...

— Dziś zaprosiłam obydwóch na podwieczorek. Przytem umówiłyśmy się z Zosią, że będziemy okrutnie nadskakiwały Waleremu. Zosia będzie się do niego uśmiechała, ja z nim będę rozmawiała o rzeczach poważnych... o literaturze...

— Zacna kobieta! — wybuchnął pan Tuzinkowski.

— Tym sposobem prędzej, czy później, zmusimy tego mruka Aleksandra do stanowczego kroku. Ci więc, co tu przysłali Walerego, wyświadczyli nam wielką... nieocenioną przysługę.

— Poczciwi ludziska!

— Ale ty, mój drogi — nie gadaj tak dużo o sprawach biurowych i nie wyrywaj się z konceptami swoimi, bo przyznam ci się, że te twoje dykteryjki kancelaryjne, nie wszystkich interesować mogą.

— E... niektóre z nich są bardzo wesołe... Jak na przykład podanie owego chłopa, co to się żali, że mu zginęło prosie i żona... Wiesz?

— No wiem... wiem... może to i wesołe, ale w odpowiedniem towarzystwie.

— W takim razie — rzekł w zamyśleniu p. Tuzinkowski — ja sobie pójdę na spacer, a później do kasyna.

— Tak, to będzie najlepiej.

— Jakto, pozwalasz i nie gniewasz się?

— Nie, nie... Idź i baw się wesoło.

— Poczciwa żoneczka! —

Uszczęśliwiony małżonek obawiając się, aby «poczciwej żoneczce» inna myśl nie przyszła do głowy, ucałował jej pulchną rękę i szybkim krokiem oddalił się wosoło.

Pani Tuzinkowska wciągnęła powietrze w swe płuca i gromkim głosem zawołała:

— Kasiu!

Wnet stanęła przed nią Kasia.

— Gdzie panienka?

— Panienka jest z p. Aleksandrem w pokoju.

— Cóż oni tam robią?

— A no nic.

— Rozmawiają?

— E.. nie, tylko siedzą i patrzą się na siebie.

— Aha! Idź poproś, żeby tu przyszli.

— Dobrze!

Pani Tuzinkowska została samą na chwilę, bo oto z jednej strony nadchodził Walery, a z drugiej Zosia z panem Aleksandrem.

— A... witamy... witamy... kochanego pana! — rzekła pani Tuzinkowska, zwrócona ku przybywającemu Waleremu. — Jakże się pan miewa?

— Niezle... ot tak... A pani?

— O, ja dzięki Bogu mam się bardzo dobrze. Ja niemam czasu chorować.

Nastąpiły powitania. Panna Zofja z wesołym uśmiechem podała rękę Waleremu, a p. Aleksander, okazując bardzo kwaśny humor, podał mu — jakby z łaski — końce swych palców.

— Proszę, bardzo proszę — rzekła pani Tuzinkowska — niech panowie siadają.

Zasiedli więc wszyscy przy stole, pod rozłożystym kasztanem. Walery wprost pani Tuzinkowskiej, a p. Aleksander z Zosią przy sobie.

— No i cóż tam słychać — zagadnęła pani Tuzinkowska — Czy się pan już trochę przyzwyczaił do nas?

— O już... tak... dosyć.

— Zapadła to mieścina, prawdziwe wygnanie. Niema tu, ani teatrów, ani bibliotek...

— Ani odpowiednich towarzystw — pochwyciła panna Zofja.

— To prawda — odpowiedział z uśmiechem Walery — nie ma teatrów, ani bibliotek, ale są towarzystwa, jak naprzykład państwa, które zasługują na sympatyczną wzmiankę.

— To się tylko tak mówi, proszę pana— wtrąciła pani Tuzinkowska.

— Każda miejscowość — ciągnął dalej Walery — ma swoją odrębną właściwość. Trzeba ją tylko dobrze poznać i trzeba umieć swój czas urozmaicić.

— Ślicznie to pan powiedział!

— Czy pan jeszcze bardzo tęskni za swoimi? — spytała niedyskretnie, z całą naiwnością panna Zofja.

Zapytanie to rozbudziło w sercu Walerego długo tajony ból i rozpacz. Ale w porę się wstrzymał i zamiast wynurzeń i zwierzeń, pochylił głowę i rzekł uszczypliwie:

— Przy pani zapominam o wszystkiem?

— O, pan jesteś bardzo łaskaw...

Pan Aleksander groźnie się poruszył.

— Czemuż pan tak rzadko nas odwiedza? Myśmy panu zawsze radzi. Mój mąż wspomina o panu serdecznie i życzliwie.

— Nie chciałbym być natrętnym.

— Cóż znowu — zawołała pani Tuzinkowska — z nami ceremonje? — po chwili dodała. — Mam nadzieję, że się pan poprawi.

— A nowych książek jeszcze pan niema? — zapytała panna Zofja.

— Jeszcze niemam, pani.

— Wczoraj właśnie skończyłyśmy z mamą czytanie powieści «Ogniem i Mieczem», którą nam pan pożyczył. Bardzo nam się to podobało.

— Ach, bo też to cudowna powieść — rzekła pani Tuzinkowska.

— Ten Zagłoba.... niezrównany! — dodała panna Zofja.

— Jakto on, proszę pana — wtrąciła matka — zręcznie przeprowadził Helenę... Jek to on sprytnie pokonywał wszystkie niebezpieczeństwa! — Albo jak to ten... ten... kozak... Jakże on się nazywał?

— Chmielnicki? — spytała córka.

— Ależ nie! Ten młody... wiesz? Co to się kochał także w Helenie....

— Aha!... Bohun!

— To... to... to... Bohun! Jaki to był mężny człowiek, jaki to był zatwardziały rycerz... Dawne czasy!.. Dziś o takie zatwar.... to jest... o taką zatwardziałość trudno! Dzisiejsza młodzież kocha się całkiem inaczej! Dzisiejsza młodzież..

— Albo proszę mamy — przerwała panna Zofja — jak to pan Zagłoba pięknie się spisał w tym chlewie...

— Ach to śliczne! To prześliczne! On im tam narobił — Ha!

— Już.. już... zdawało się, że już po nim, a przecież pan Zagłoba umiał się zawsze wyratować. Albo proszę mamy... ten Podbipięta.... To taka poczciwa dusza!

— No i Skrzetuski... — dodała pani Tuzinkowska. —

— Ach.. Skrzetuski!... Pamięta mama, jak to on szedł w tym stawie... jak to on ciągle napotykał.. to pływające .. to leżące w błocie.....

— Pamiętam... pamiętam.... to okropne.

— Prześliczne dzieło!

— O tak, prześliczne dzieło!

— Tylko, że opisów za dużo — wtrąciła panna Zofia. —

— Otóż to! — pochwyciła matka. — Te opisy, to ni przypiął, ni przyłatał! Nieznośny autor z tymi opisami — a zwracając swą mowę do pana Aleksandra dodała — Jak zacznie, powiadam panu — nudzić, to człowiekowi aż się na spanie zbiera!

— Podług mnie — rzekła panna Zofja — całe to dzieło za długie. Gdyby naprzykład o połowę było krótsze... dalekoby się lepiej wydało!

— Co do mnie — wtrącił wesoło Walery — to ja żadnych opisów nie czytam. Opuszczam je z zasady.

— I ja! — zawołała matka. —

— I ja! — zawołała córka!

— A czytał pan «Widmo szczęścia?»

— Nie pani.

— Ach, to także śliczne dzieło! Jeżeli pan zechce, mogę panu pożyczyć.

— I owszem!

— Idź no Zosiu... ono leży tam na szafie... Prędko!

Panna Zofia powstała i lotem strzały pobiegła do pokoju.

— Ale tam trochę brakować będzie — dodała pani Tuzinkowska — bo to wychodziło arkuszami i nie jest oprawne.

— Nic nie szkodzi — odrzekł Walery.

— Proszę pani — rzekła wchodząca Kasia — pani poczmistrzowa przysełą gazety.

— Dobrze, połóż je na stole.

Kasia gazety położyła i odeszła, a tymczasem panna Zofja z zarumienioną twarzyczką, trzymając w ręku plik zakurzonych i podartych arkuszy nadeszła.

— Oto są! — rzekła podając je Waleremu.

— Bardzo pani dziękuję.

— Ciekawa jestem — rzekła pani Tuzinkowska — jak się też panu to dzieło spodoba! Tam jest prześliczny charakter nieszczęśliwej żony, której mąż....

— Niechże mama naprzód nie mówi...

— Nic nie szkodzi, ja przecież...

— Proszą pani — przerwał Walery — przez kogo to napisane?

— To tłumaczone z francuskiego...

— Nie mamo, z angielskiego.

— Ale co gadasz! — Przecież pamiętam, że z francuskiego!

— Ja także pamiętam, że z angielskiego.

— A ja ci mówię, że z francuskiego.

— Ależ nie mamo...

— Nie mamo i nie mamo — rzekła rozgniewana pani Tuzinkowska. — Zresztą zabacz tytuł, a przekonasz się.

— Bardzo dobrze — odrzekła panna Zofja i wyciągnowszy rękę ku Waleremu szepnęła uprzejmie — pan będzie łaskaw.

— Służę pani.

Panna Zofja gorączkowo przewracała arkusze na wszystkie strony.

— No i cóż? — zapytała matka.

— A no nic — odpowiedziała córka — bo niema tytułowej kartki.

— To doktor zagubił — rzekła pani Tuzinkowska. — Doprawdy, że tym ludziom nigdy nie warto nic porządnego pożyczyć.

Podczas, kiedy pani Tuzinkowska narzekała na doktora, stała się rzecz ważna i niespodziewana. Oto pan Aleksander, który do tej pory ani słowa nie przemówił, schylił się do panny Zofii i coś jej szeptał z zajęciem.

Ona wysłuchawszy go, powstała zmięszana i drżącym głosem rzekła do swej mamy.

— Proszę mateczki.... pan Aleksander chce mateczkę prosić... to jest, chce coś powiedzieć.... ale prosi, abyśmy obie poszły z nim do pokoju.

— I owszem... i owszem — krzyknęła pani Tuzinkowsku cała rozpromieniona — służę panu!

Wszystko troje powstało i zmierzało do dworku, ale pani Tuzinkowska wnet się zatrzymała i powróciła do Walerego.

— Przepraszam pana — rzekła — my tu zaraz powrócimy; może pan tymczasem przejrzy gazety.

— Niechże się pani mną nie krępuje — odrzekł Walery, śmiertelnie znudzony tym literackim podwieczorkiem.

III.

Dla obserwatora, który pragnął zbierać obrazki z mieszkańców miasteczka X., uchodziłby czas szybko i pożytecznie, dla Walerego jednak, który tam przybył z musu, przepełniony miłością i tęsknotą, każdy dzień wiekiem się stawał.

Były chwile, w których zdawało mu się, że oszaleje!

Jedna jedyna myśl, krzepiła go i dodawała mu odwagi... to jest myśl, że tam... w tym labiryncie wielko-miasteczkowym, znajduje się istota, która wspomina o nim przyjaźnie.

Jedno małe słówko, wyrzeczone przez Marję Gromską przy pożegnaniu: «Ja o panu zawsze pamiętać będę», łagodziło wszystkie jego cierpienia.

Co też się z nią dzieje?

Czy rzeczywiście myśli jeszcze o nim?

Czy przeczuwa jakie tortury tu znosi, ile ztąd westchnień do niej ulatuje?

Zamyślił się głęboko i mimowoli sięgnął po gazetę.

Chciał się otrząsnąć z tych myśli, a raczej chciał wstrzymać łzy gwałtem cisnące się do oczu.

Jakieś złowrogie przeczucie go ogarnęło. Zaczął więc czytać gazetę.

Na pierwszem miejscu w kronice, wyczytał następujące doniesienie: «W dniu dzisiejszym, pobłogosławiono związek małżeński panny Marji Gromskiej z panem baronem Ipsylońskim...»

Wpatrywał się długo w te literki, które zaczęły się kręcić i skakać. W głowie uczuł szum, w gardle jakieś dławienie.

— Otóż mam odpowiedź na zapytanie, co się z nią dzieje!

Złożył gazetę i lekko położył ją na stole.

— A teraz co? — zapytał sam siebie — Gdzie tu iść, czem się zająć? Czem uspokoić rozhukane serce?

Wtem weszli wesoło pani Tuzinkowska, panna Zofja i pan Aleksander.

— Pozwól pan sobie przedstawić parę narzeczonych.

— Narzeczonych? — spytał Walery roztargniony.

— Tak... pan Aleksander z moją córką narzeczeni.

— Narzeczeni... doprawdy.... pozwól pani... przepraszam — odchodzę.

I wziąwszy kapelusz, ukłonił się i wyszedł.

Pani Tuzinkowska ręce załamała.

— Biedny młodzieniec.... jak on cierpi okropnie! Bo i on także kochał się w Zosi... Aleś ty go panie Aleksander ubiegł w samą porę. Gdyby jeszcze jeden dzień zwłoki, on tryumfowałby nad tobą. Nie byłoby ci to przyjemnem prawda?

— Nie... — odrzekł pan Aleksander

— No, kochane dziatki... wy pewnie chcielibyście porozmawiać z sobą. Siadajcież więc i rozmawiajcie...

Nagle stanęła jak wryta — oczy wytrzeszczyła... a wyciągając ręce nad stołem, jęknęła z przerażeniem.

— A!

— Co się stało... mamo?

— Widzisz? — odpowiedziała tragicznym głosem — Widzisz? «Widmo szczęścia» zostawił! On teraz o niczem nie myśli.

— Biedny pan Walery — szepnęła panna Zofja.

— Cóż robić, moje dziecko.... Co się stało, już się nie odstanie! Siadajcie sobie i rozmawiajcie! Ja idę do kuchni!

Odchodząc, mówiła jeszcze do siebie:

— Złoty, kochany ten Walery.... Niebo go tutaj zesłało!

A panna Zofja z panem Aleksandrem, jak szczęśliwie usiedli, tak siedzieli kilka godzin w milczeniu, patrząc na siebie wzajemnie.

Gazetka teatralno-artystyczna i literacka.

Teatr. W ostatni piątek przedstawiono na lwowskiej scenie po raz pierwszy sztukę p. t. *Debiutantka*, której autor ukrył się starannie pod pseudonimem »Nieznajomego«. Już z powodu tej tajemniczości sztuka budzi ogólne zainteresowanie, a gdy do tego dodamy, iż treść do niej poczerpnięta jest z życia aktorskiego i to z bieżącej chwili, można sobie wyobrazić, jak ciekawą dla szerokiej publiczności okazała się powyższa *premiera* i jak skwapliwie śledzono za wykryciem autora, który w *Debiutantce* okazuje, nietylko prawdziwy talent pisarski, lecz również wyborną znajomość sceny i tych stosunków życia aktorskiego, które inaczej przedstawiają się na szerokim świecie, a inaczej za kulisami sceny...

Nie można powiedzieć, aby w *Debiutantce* panowała zwartość artystyczna i, aby budowa jej zcementowana była jednolicie — ale uderza w niej śmiały, dosadny i prawdziwy rysunek postaci, bystry zmysł spostrzegawczy, głębsze wpatrywanie się w duszę ludzką i szczery akcent dramatyczny — zalety, jak widzimy, pierwszej miary, które przy wszystkich usterkach i pewnej luźności, stawiają autora *Debiutantki* w rzędzie rzetelnie utalentowanych pisarzy dramatycznych. Sam pomysł *Debiutantki* jest oryginalny. Bohaterka jest kobieta z towarzystwa — hrabina nawet, która, mimo, że jest mężatką i ma dzieci, mimo oporu stanowczego męża, który z nią zrywa, a dzieci zabiera do siebie — zostaje aktorką i ginie, przedewszystkiem dlatego, że nie ma talentu, choć w nędzy i poniewierce pozostaje do śmierci uczciwą kobietą. W takich ramach silnie dramatycznych, a prawdziwych zamknął autor główną treść sztuki, a wśród niej pomieścił pyszne epizody, lub przesuwające się charakterystyczne, wypukłe i tryskające prawdą życiową postacie, które *Debiutantce* nadają barwę żywą, jaskrawą — gdzie nie rzadko łzy mieszają się ze śmiechem...

Do zalet *Debiutantki* zaliczyć także należy poprawną, piękną polszczyznę, co dowodzi, że autor posiada, nietylko talent pisarza dramatycznego, lecz prawdziwe wykształcenie literackie pozwalające mu władać formą kunsztownie, obrazowo i z silną, choć nigdy nie afektowaną argumentacją.

Debiutantka, jako sztuka teatralna jest, niezawodnie, niezwykłym nabytkiem bieżącego repertuaru i usprawiedliwia w zupełności to powszechne zainteresowanie, jakie budzi w szerokich rzeszach pragnących wrażeń silnych, szlachetnych, o prawdziwym nastroju dramatycznym, z którego melodramatyczność i emfaza frazesowa nie ścierają prawdy życiowej i pogłębienia psychologicznego.

Bohaterką sztuki jest p. Stachowiczowa. Subtelność gry i stopniowany akcent dramatyczny aż do grozy traicznej, cechują grę znakomitej artystki.

Obok niej postawić należy p. Zawadzkiego, który rolę aktora Miłosza gra z tą brawurą artystyczną, na jaką się, zawsze w granicach estetyki teatralnej, zdobyć tylko potrafią wyższe talenta.

Pan Chmieliński, jako mąż debiutantki, ów hrabia — z przedziwnym spokojem i siłą odegrał rolę nie zupełnie wyraźnie pod względem charakteru nakreśloną przez autora.

Przepyszną charakterystyczną postać dyrektora teatru odtworzył p. Fiszer.

W nie wielkiej, ale dosadnej roli żony Miłosza wysunęła się na pierwszy plan pani Kwiecińska grą pełną werwy i namiętności.

Piękna i sympatyczna postać zapoznanego aktora prowincjonalnego znalazła w grze p. Wysockiego doskonałego wykonawcę.

Gołego hrabiego — totumfackiego gra p. Walewski z tą pomysłowością i charakterystyką, która przynosi zaszczyt utalentowanemu artyście.

Rezolutną »naiwuą« w »budzie prowincyonalnej« była panna Jankowska. Dobrze pochwyciła postać wykolejonej córeczki Melpomeny.

W epizodycznych, a mimo to silnie przez autora nałożonych farbami charakterystycznemi postaciach, pomysłową, lub niezmiernie staranną grą, odznaczają się pp. Feldman, Kliszewski, Rożańska, Antoniewski, Nowacki, Kwiatkiewicz, Zejdowski, Modzelewska, Jaworski i Neuman.

Licznie zebrana publiczność silnie oklaskiwała sztukę i natarczywie wywoływała autora, który, oczywiście, nie ukazał się i do chwili, gdy to piszę, pozostał... znakiem zapytania... *Iks Ypsylon.*

Operetka »Wszystko to już było« — mówi Ben-Akiba w *Urielu Akoście* — w operetkach zaś libreciści powiadają: »tego nigdy nie było i nie będzie«. I tak jest, rzeczywiście w *Lalce* Audran'a, głośnej *Lalce*, co automatycznie przebiegła po wielkich scenach Europy i w przeszłym tygodniu wyszczerzyła ząbki ze sceny lwowskiej. Coś podobnego z lalką było już w *Opowieściach Hoffmana*, ale bezbrzeżność nieprawdy — to, co nie może tak samo być, jak np. żeby z obłoków zamiast gradu padały pomarańcze — w *Lalce* posunięte jest na sam koniec nosa wieży Eiffel, z którego spada na ziemię i rozbija się o najsłabszą mózgownicę najsłabszego... tenora. Bo proszę sobie wyobrazić, że w *Lalce* jest taki młody człowiek, który przez dziesięć dni kocha się, zaręcza, żeni z żywą kobietą, a jest przekonany, że wszystko to robi z lalką.. Ciekawy jestem, gdyby przyszła konsolacja, czy także by myślał, że to lalka z małemi laleczkami?...

No, ale o sens mniejsza — libretto w operetkach jest od tego, żeby nie było sensu i, żeby sytuacje ratowały: głos, muzyka i jaskrawa komika. Zebrało mi się na rym, prawdziwie operetkowy — można się zarazić od jednego pocałunku... Więc w *Lalce* muzyka jest ładna, lekka, melodyjna, choć spokojna, może zanadto spokojna, jak na operetkę, której pierwszy akt przypomina trochę *Favoritę*. Oprócz tytułowej partjo — roli, bo tak należy to nazwać i takiejże Lancellota — nie wiele jest do śpiewania w *Lalce*. Ale za to pani Kliszewska z nadobnej Alezji pod względem śpiewu i gry robi coś tak ładnego, powabnego i czarującego wdziękiem, oraz finezją wokalną, że dla niej jednej darowywa się rogaty bezsens libretowy. Tenor p. Malawskiego towarzyszył Alezji i swoją miękkością, jedwabistością i łagodnymi wokalnymi konturami zdobywał sympatyczne oklaski.

Pan Bogucki nie spracował się, jako Maximus: przełożony konwentu — ale zrobił to wszystko poprawnie i we właściwym stylu.

Hilarusa — fabrykanta lalek — grał pan Myszkowski z werwą komiczną i dosadną charakterystyką, do czego mu dzielnie dopomagała pani Radwan.

Pan Lelewicz grą dobrze schwyconej charakterystyki, podpartą komizmem wokalnym, wywołuje żywe oklaski i razem z p. Kratochwilem, który dobrze towarzyszył mu w grze i śpiewie — bisować musieli. Energicznym i ślicznym chłopakiem jest p. Bronikowska. Reszta — wszystko epizody drobne.

Wystawa, poprostu, wspaniała!.. Pan Balk wymalowaniem dekoracyj do *Lalki* złożył ponowny dowód rzetelnego talentu artysty-dekoratora. Udział baletu w operetce przyczynia się bardzo do jej zewnętrznej, błyskotliwej i ponętnej szaty. Tańczyli pp Sachsówny, Staszko, Bogdanowicz, Solnicki i Sachs.

Operetką doskonale dyrygował i wybornie ją opanował p. Słomkowski. *Omega.*

— W Krakowie poczęło wychodzić pismo dla kobiet wiejskich, p. t. *Przewodnica*, ukazujące się w pierwszą niedzielę każdego miesiąca. Pierwszy numer ozdobiony illustracjami, przedstawia się bardzo interesująco, a składają się na niego zajmujące artykuły, o urozmaiconej treści. Prenumerata roczna wynosi tylko 20 ct.

— Pamiętniki Wiktora Hugo p. t. „Choses vues“, ukazały się jednocześnie w Paryżu, Londynie i Nowym Jorku. Zestawił te pamiętniki Paweł Maurice z nieogłoszonych krótkich opowiadań, opisów i notatek, które poeta spisywał na pojedyńczych kartkach i pozostawił rozproszone pośród innych rękopisów. Sięgają one aż roku 1825. kiedy Wiktor Hugo był obecny na koronacji Karola X. w Reims. Nadto książka objęła bardzo sarkastyczny rozdział o akademikach francuskich, zajmujące szczegóły z życia w Tuillerjach za panowania Ludwika Filipa, opis przybycia Napoleona do Paryża w r. 1815, według opowiadań naocznego świadka, a wreszcie kilka nieznanych dotąd szczegółów stracenia Ludwika XVI.

W lot.

═ Ś. p. Karol Edmund Chojecki.

Gdy przed paru dniami pojawiła się wiadomość o śmierci ś. p. Edmunda Chojeckiego (Charles Edmond) w Paryżu, doznaliśmy dziwnego wrażenia. Jakto? on umarł teraz dopiero? W pamięci naszej był on już dawno umarły. Po polsku nie pisał od lat kilkanastu, a i po francusku już od lat kilku nic ważniejszego drukiem nie ogłosił. Niedyś, za czasów cesarstwa, jako sekretarz kięcia Napoleona (Plon-Plon) był on figurą głośną i wybitną, potem na posadzie bibliotekarza w pałacu luksemberskim wiódł żywot cichy i zamknięty. Tak dawno nie słyszeliśmy nic o tym człowieku. Umarł już dawno — dla nas polaków przynajmniej. Na mogile jego już trawa porosła. Niegdyś, około roku 1840, zajmował Chojecki dosyć wybitne stanowisko w prasie warszawskiej, jako redaktor *Echa*. W r. 1844 wyjechał do Paryża i wstąpił do redakcji *Revue Indépendante*, potem w r. 1848 znów na chwilę zawitał do Galicji, lecz ścigany przez władze austrjackie, powrócił do Francji i wstąpił do dziennika *Le peuple*. W następnych latach podróżował po Egipcie, Włoszech i Szwajcarji, walczył w kampanji krymskiej pod rozkazami Omerabaszy, a jako sekretarz ks. Napoleona, towarzyszył mu w wyprawach na morza polarne. W r. 1862 mianowany został bibliotekarzem senatu, w r. 1867 wice-król Egiptu powierzył mu urząd sekretarza na wystawie paryskiej. Jego staraniem urządzony został na tejże wystawie oddział egipski, przedstawiający obraz rozwoju kulturnego w kraju Faraonów. Jako autor polski, zdobył sobie Chojecki rozgłos szeroki powieścią »Alkhadar«. Późniejsze jego utwory powieściowe, np. »Prakseda«, stoją znacznie niżej pod względem wartości literackiej. Z innych prac Chojeckiego wymieniamy jeszcze: »Czechja i cze-

chowie przy końcu 1-ej połowy XIX stulecia«, »Rewolucjoniści i stronnictwa wsteczne w r. 1848« »Patrjotyzm i objawy jego u niektórych narodów«, wreszcie nowelle: »Herold«, »Drwalka«, »Dzień zaduszny« i kilka innych. O wiele wybitniejszy jest udział Chojeckiego w literaturze francuskiej. Pisywał pod pseudonimem Charles Edmond, a dzieła jego miały dużą poczytność. Wymienimy tu kilka najważniejszych: »Voyage dans le mer du nord«, »Souvenir d'un depaysé«, »Pologne et ses trois poëtes: Mickiewicz, Krasiński, Słowacki"; dalej parę dramatów, grywanych z względnem powodzenieniem na scenach paryskich, oraz powieści »Le mers polaires«, »L'Africain«, »L'Aiëule«, »La Florentine«, »Le Dompteur« i t. d. Był to talent duży. Szkoda, że pracował przeważnie dla obcych.

═ Ś. p. Antoni Kątski.

W gubernji nowogrodzkiej w Rosji zmarł w tych dniach najstarszy z pomiędzy dotąd żyjących muzyków polskich, ś. p. Antoni Kątski.

Do niedawna podziwiano przeszło ośmdziesięcioletniego fortepianistę, który, pomimo tak późnego wieku, zachował w grze swojej wszystkie cechy zapału młodzieńczego, oczywiście w stylu szkoły ówczesnej, a dziś już przebrzmiałej epoki.

Urodzony w 1817 roku w Krakowie, kształcił się u Marendorfa w Warszawie i Fielda w Moskwie. Jako „cudowne dziecię", ś. p. Kątski popisywał się w kraju i za granicą, również w bardzo młodym wieku oddał się kompozycji, utwory zaś jego muzy, głównie w kierunku t. zw. »salonowym«, w pierwszej zwłaszcza połowie wieku bieżącego, cieszyły się olbrzymią popularnością. Żadna jednak nie osiągnęła tak wielkiego powodzenia, jak grywana dotąd przez zwolenników »muzyki salonowej« fantazja koncertowa p. t. »Le reveil du Lion«.

Zmarły muzyk całe niemal długie swoje życie przepędził na podróżach koncertowych, zwiedzając obie półkule i szerząc kult dawnej szkoły z Bachem, Gluckiem, Mozartem, Haydnem, Bethovenem, oraz plejadą kompozytorów, wyparowywanych dzisiaj przez nowe kierunki sztuki muzycznej.

Ś. p. Antoni Kątski ma dla sztuki krajowej niepospolite znaczenie, gdyż ukazał się w epoce, gdy sława Chopinów i Moniuszków jeszcze nie zajaśniała i gdy społeczeństwo muzykalne miało wzrok zwrócony wyłącznie na zachód, który mu próżnię talentów w kraju panującą wypełniał. Mówimy tu o nim wyłącznie, jako o wykonawcy, gdyż kompozycje zmarłego artysty, z tedencją opartą na błyskotliwości odzwierciedlającej dawne, zamarłe już echa „romatyzmu salonowego", nie ostały się i dały się przeżyć swemu twórcy.

═ Nazwy w południowej Afryce.

Z powodu toczącej się obecnie w połud. Afryce wojnie, zaciekawi zapewne nie jednego czytelnika znaczenie nazw różnych miejscowości, gór i rzek w tym kraju, z którymi każdodziennie niemal w sprawozdaniach z placu boju się spotyka.

Nazwy te są do pewnego stopnia przez niemców i anglików na swoje kopyto przerobione, ale mimo to, właściwe ich brzmienie przynajmniej w pewnej części jest zachowane. Poniżej przytaczamy parę najważniejszych wyrazów, którymi zakończone są zwykle nazwy miejscowości. Drift znaczy tyle co bród, miejsce w rzecze, przez ktore można przejść lub przejechać; fontein znaczy tyle co źródło; gravwater głębizna w rzecze; klipp, kamień, skała; hoogte, wyżyna; pan, dna wyschłych jezior słonych; vivier, (nie revier) rzeka; spruit, strumyk; vlakte, międzrzecze, kraj pomiędzy dwoma rzekami; zaud, równina piaszczysta.

Co do wymawiania nazw holenderskich, to warto sobie zapamiętać, że ae wymawia się jak a — cen jak e — ie, ien jak i — ij, jak aj — oe, jak u (a więc Bloemfountein-Blumfountain). Dalej oo, wymawia się jak o — ou jak au.

Niektóre nazwy miast południowo-afrykańskich, nazwę swoją wzięły od nazw różnych urzędników, lub wodzów. I tak, Durban, nazwał tak Benjamin Durban, który był w roku 1834 gubernatorem Cape Colony, (angielskiej kolonji na przylądku Dobrej nadzieji); Harrysmith, ma swoją nazwę od pułkownika Harry Smitha. Miasta: jak Ladysmith, Port Elizabett, Lady Grey i inne, zawdzięczają swoje nazwy żonom równoczesnych gubernatorów angielskich.

═ Ostrzeżenie.

Otrzymujemy następujące pismo, z prośbą o umieszczenie:

„We Lwowie przebywa obecnie niejaki p. Bolesław Rakowski z Poznania i udaje się do różnych osób i instytucyj z prośbą o wsparcie, przedstawiając się jako ofiara politycznego prześladowania i korzystając z jednakowego brzmienia swego nazwiska z mojem, oraz z rozgłosu, jaki zrobiło moje wydalanie z Poznania.

Ostrzegam zatem niniejszem każdego przed wyzyskiem oszusta, który:

1) już w roku zeszłym, bawiąc tu we Lwowie, przedstawiał się jako redaktor *Pracy* i wyłudzał podstępem pieniądze,

2) przed kilku miesiącami za oszustwa, popełniane zawsze pod firmą *Pracy*, odsiedział karę więzienną w Krakowie,

3) będąc zatrudniony w administracji jednego z pism lwowskich, w początku b. r. popełnił sprzeniewierzenie.

Za wiarogodność powyższych szczegółów ręczę i wszelką odpowiedzialność na siebie przyjmuję. *Dr. Kazimierz Rakowski.*

Przegląd polityczny.

(*Z powodu wojny w Afryce*)

Z placu boju w ostatnich dniach nie było ważniejszych wiadomości. Źródła angielskie utrzymują, że już nazajutrz po bitwie nad rz. Modder, jen. Methuen przeszedł przez rzekę. O dalszych jednak operacjach tej dywizji nic nie wiadomo.

W Londynie są tylko wysoce zaniepokojeni ruchem afrykanderów w kolonji Przylądka. Dzienniki domagają się, aby w całej kolonji uczyniono stan oblężenia i sądy doraźne, a nadto, aby karano każdy »objaw sympatji« dla boerów. Zdaje się, że tych »objawów« jest sporo w posiadłościach angielskich. W obec takich zachcianek, szowinizm angielski coraz bardziej się wzmaga. Tak np. „Daily Mail" ośmiela się proponować, aby prezydenci Krüger i Stein za straty w życiach ludzkich zostali osobiście ukarani.

Joubert nie daje spokoju anglikom, starają się go też wszelkiemi siłami uśmiercić. »Po raz pierwszy« Joubert został zabity w d. 10. listopada pod Ladysmithem, »po raz drugi« zabito go znów w d. 26 z. m. pod Helpawakerem, po raz wreszcie trzeci kazano mu ciężko zachorować i złożyć dowództwo w inne ręce. Miał on wyruszyć do Volksrustu, zastępcą zaś jego ma być na razie jen. Schalburger. Jeżeli do tego dodamy, że wedle innej jeszcze wiadomości jen. Joubert podążył przez Bloemfonstein na zachodni teatr wojny, rodzi się pytanie: co się istotnie dzieje z Joubertem? Otóż wbrew życzeniom angielskim jen. Joubert żyje i bije...

Anglicy na różne sposoby biorą się, aby zapewnić sobie »powagę«. Posiadanie drutów telegraficznych stanowi dla nich szansę wyborną, którą też synowie Albionu usiłują dla siebie w najdogodniejszy sposób wyzyskać. Oto co np. donoszą z Londynu: Według dzienników szowinistycznych tutejszych, depesze rozsełane przez biuro Reutera, były jeszcze za przychylne dla boerów. Rada zarządzająca zrazu ignorowała te ataki, zupełnie niezasłużone. Wreszcie po stronie prasy szowinistycznej stanął Chamberlain i zagroził Towarzystwu cofnięciem ulg ze strony rządu. W obec tego, rada zarządzająca dała dymisję naczelnemu redaktorowi. Jest to już trzecia ofiara wojny w prasie londyńskiej; poprzednio musieli ustąpić potępiający wojnę redaktorzy naczelni »Daily Chronicle« i »Echo«.

W obec tego należy się spodziewać całego szeregu tryumfów angielskich na papierze.

Dzienniki angielskie pospieszyły z objaśnieniami na zarzuty czynione co do spełnianych okrucieństw. Powiada np. »Dayly New«, że w Haadze otworzono nawet komitet, którego zadaniem jest nadać wzmiankowanym wiadomościom, jak najszerszą doniosłość.

Proponują zatem, aby informacje holenderskie i francuskie poddać krytyce. Jeżeli bowiem nie można uważać tych wiadomości jako dowiedzionych, to znów trudno odmówić im pewnej dozy prawdopodobieństwa. W każdej armji jest pewna liczba maruderów, którzy korzystają z okoliczności, aby dopuszczać się nadużyć. Źli ludzie i złe charaktery mogą się znaleść w każdej armji pod każdym sztandarem. Wszystko, czego spodziewać się możemy — i to nie powinno być tylko czczą nadzieją — to, że oficerowie angielscy uczynią wszystko, co od nich będzie zależało, aby podobne wypadki się nie zdarzały. Oskarżenia pod angielskim adresem obiegają całą prasę zagraniczną i być może, iż zwrócą one uwagę jen. Bullera. Rzekome mordowanie boerów jest oskarżeniem, wystosowanem wprost pod adresem pewnych osób i nie powinno pozostać bez odpowiedzi.

W dalszym ciągu artykułu zbija dziennik angielski zarzuty, jakoby anglicy źle traktowali swych jeńców. Okręt »Patiale«, który wiózł jeńców, płynął wśród wzburzonego morza i dlatego też boerzy, nie przyzwyczajeni do żeglugi mocno ucierpieli. Co się tyczy żywności, to ogólnie skarżono się podobno na złe kartofle; ale tę samą żywność otrzymywali i żołnierze angielscy. Być może zatem — dódaje »Daily News« — iż inne oskarżenia okażą się równie uzasadnionemi, jak owo złe traktowanie jeńców.

Z powyższego artykułu wynika jednak, że oskarżenia prasy europejskiej nie są tak znów zupełnie bezzasadne.

Ciekawe, pożyteczne i praktyczne wiadomości.

Żółwiowa skóra. Jednemu z przemysłowców wiedeńskich, udało się takie preparowanie skóry bydlęcej, iż staje się przeświecającą, jak żółwia, a twardą, jak róg, lub celuloid, przyczem można jej nadać dowolnie większą, lub mniejszą elastyczność. Zmieniona w ten sposób skóra, daje się obrabiać przy pomocy piłki, pilnika, noża i dłuta, nabiera świetnego połysku, jak żółwiowa, może być przeto zastosowaną do wyrobu grzebieni, wachlarzy, zamiast fiszbinu do gorsetów kobiecych, wyrobów tokarskich i t. d. Nad celuloidem ma zaś tę nieoszacowaną wyższość, że się nie zapala tak łatwo i wybuchowo, jak celuloid, owszem, jest prawie niezapalną, nie pęka wskutek uderzenia,

lub upadzu i nie wydaje żadnej nieprzyjemnej woni. Na większych płytach tej skóry żółwiowej, można za pomocą odpowiedniego bajcowania utrwalać rysunki i malowidła prześwięcające, jak na szybach, co jest wielką jej zaletą, przy użyciu dla wyrobów artystycznych Cena tego nowego materjału nie jest droższą, owszem, ma być tańszą od dotychczasowych, najlepszych imitacyj żółwiowych,

W Abisynji, na mocy prawa z r. 1642, nie wolno palić cygar i tytoniu. Z początku kapłani w kościele zakazywali palić, potem prawo rozszerzono na cały kraj i dziś nikt w Abisynji nie pali. Nawet obcy, chwilowo w Abisynji przebywający, jeżeli palą, to w ukryciu.

Papierowe zęby. Używane dotychczas materjały do wyrobu zębów, szczególniej zaś fajans emaliowany, okazały się bez wyjątku prawie nieodpowiednimi, wskutek czego kwestja materjału na sztuczne zęby zajęła w współczesnej technice dentystycznej pierwsze miejsce. Pewnemu amerykańskiemu fabrykantowi udało się przez stosowne zastosowanie mineralnych przymieszek do masy papierowej wytworzyć ciało, które tak pod względem swojej niezwykłej lekkości, jako też dla twardości równającej się stali, nadaje się najlepiej do wyrobu sztucznych zębów, tem bardziej, że materja ta nieczuła jest na wpływ kwasów, powstających w jamie ustnej. Wyższość tej materji polega jeszcze na tem, że wyrobione z niej zęby mają całkiem naturalny kolor, ponieważ materję ową można zabarwiać na dowolny kolor.

Ciekawe zestawienie przytacza jeden z dzienników wojskowych berlińskich, ze względu na toczącą się wojnę w Afryce południowej. I tak, gdyby Berlin przedstawiał stolicę Transwaalu, Pretorję, to Mafeking leżałby tam gdzie w Niemczech leży Hanower, zatoka Delagoa znajdowałaby się pod Warszawą, Ladysmith byłoby tam, gdzie leży Wiedeń, Kimberley tam, gdzie Mannheim, Port Elizabeth tam, gdzie Kapstat, Tuluza itd. Zestawienie to daje miarę znacznych odległości na teatrze wojny.

Dzikie kasztany radzą dawać krowom, owcom i kozom gotowane i gniecione, pomieszane wraz i inną paszą, lecz nie więcej jak 1 kg. dziennie na sztukę owcom, a 5 kg. krowom. Z powodu małej ilości kasztanów u nas się znajdujących, nie warto się o tem rozwodzić Za to godzi się przypomnieć, że dzikie kasztany, gotowane i gniecione są doskonałą karmą dla karpi i pstrągów. Gdy kasztan nadto jest pięknem drzewem ozdobowem, a rodzi obficie, godziłoby się, żeby coraz liczniejsi właściciele stawów i stawków, rzecz tę wypróbowali, zdali z tego sprawozdanie, a następnie koło dróg, podwórza i t. d. sadzili kasztany.

Miód, jako lekarstwo. Z doświadczenia długoletniego „Hlas Naroda“ zaleca, aby osoby nerwowe nie mogąc spać spokojnie, przed udaniem się na spoczynek spożyły dwie łyżeczki miodu. Środek ten ma uspakajać nerwy, czyścić krew i sprowadzać sen przyjemny. Kto nie znosi czystego miodu, może użyć go na chlebie, lub bułce.

Podkowy bez gwoździ. W Berlinie opatentowano nowy sposób przytwierdzania podków do kopyt bez gwoździ, a tylko za pomocą klamer. Podkowa ma z każdej strony po trzy małe kwadratowe podłużne otwory, w które zakłada się klamry, za pomocą których przytwierdza się podkowę do kopyta. Na bruku berlińskim ma już dużo koni chodzić w tak przytwierdzonych podkowach, które podobno siedzą bardzo mocno, a konie chodzą w nich pewno. W Berlinie utworzyło się Towarzystwo pod nazwą: „Universalhufeisen-Gesellschaft, Louisenstr“, które się zajmuje wyrabianiem tych podków i zapewne przytwierdzaniem ich koniom. Gdyby się ten sposób okazał praktycznym, to usunęłoby się wiele niedogodności, powstających przy zwyczajnem kuciu koni.

Odpowiedzi od Red. i Adm.

Pan Jan Kuzeński w South Chicago (Ameryka.) Jednego dolara otrzymaliśmy, a jakkolwiek prenumeratę liczymy od Nowego Roku, przesłaliśmy kilka numerów poprzednich z początkiem nowo rozpoczętej powieści.

Pan F. we Lwowie. Prosimy przedewszystkiem przysłać tę powieść — gdy ją przeczytamy, damy stanowczą odpowiedź.

Pan H. na Zn. Wiersze odesłaliśmy pocztą. Szczerze radzimy nie pisać wierszy.

Kukułeczka. „Swawolne słówko“ dosyć zgrabne, ale temat fatalny. Niech pani sprobuje z innej beczki.

L. W. w K. Nie umieścimy.

Zub. w D. Wysłaliśmy.

Kilku prenumeratorom w Ameryce. Na kredyt pisma posełać nie możemy, gdyż kredyt taki, zwykle trzeba potem pisać na Bredyczów...

N. C. w Paryża. O dokładny adres prosimy.

Autorom wierszy. „Wujek i ciocia,“ „Katakulka,“ „Lwowskie Monaco,“ i „Ciapcia.“ — Utwory panów i pań drukowane nie będą.

Nadesłane.

Za Komitet redakcyjny i wydawniczy: Redaktor odpowiedzialny i Wydawca: **M. Dzikowski-Chamski.** Z drukarni W. A. Szyjkowskiego